

PIĘKNY SMUTNY ŚWIAT!

MICHAŁ NOGAŚ



Julia
Fiedorczuk
Bliskie kraje



MARGINESY



Julia
Fiedorczuk
Bliskie kraje

MARGINESY

To zabawiało się nami jeszcze i nawet nie zauważyliśmy, kiedy tamci porzucili nadzieję. W końcu jednak zrobiło się tak zimno, że i myśmy to poczuły. Ubrałyśmy się, Leda wytrząsnęła z włosów liście i piach. Trzymając się za ręce, ruszyliśmy szosą w stronę Domu Literatury. Kiedy dotarliśmy do miasteczka, noc zaczynała się przeredzać. Wiedziałam, że muszę zasnąć, zanim wstanie dzień. Wiedziałam, że muszę zniknąć, zanim zacznę pamiętać, rozplątać się, póki mogę oddychać.

11 sierpnia

Wczoraj minął rok od śmierci R.

Przyjechałam tu pięć dni temu, żeby uporządkować to, co po sobie zostawił, bo wierzę, że jestem jedyną osobą, która może postąpić lojalnie zarówno wobec literatury, jak i wobec niego. Większość ostatnich dziesięciu lat przytomnego życia spędził na tej skalistej i wietrznej, spalonej słońcem wyspie. Przyjeżdżał tu na swoje pisarskie odosobnienia, podczas których nie kontaktował się z nikim, nawet ze mną – najpierw na krótko, potem na dłużej, w końcu kupił tu dom i został na dobre, czyli na całe trzy lata, aż do momentu, kiedy choroba uniemożliwiła mu samodzielne funkcjonowanie. Pracował wówczas nad nową powieścią, nad swoim *opus magnum*, na które wszyscy od lat czekali. Przyjechałam wtedy po niego – była to moja pierwsza wizyta w tym miejscu – żeby zabrać go z powrotem do Wiednia. Spędził kilka miesięcy w szpitalu. Miał trudny do zinterpretowania zespół objawów neurologicznych z okresami dezorientacji i utraty pamięci oraz zaburzeniami widzenia. Po pół roku uznano, że demencja postępuje i nie da się jej powstrzymać. R. został umieszczony w ośrodku opiekuńczym na zachodnich peryferiach miasta; dołożyłam wszel-

kich starań, aby wiadomość o tym nie przedostała się do prasy. Odwiedzałam go codziennie, nawet kiedy już mnie nie poznawał. Nadal pisał, jakby to był jakiś fizjologiczny odruch. Dzień w dzień zastawałam go siedzącego na ławce w parku przed ośrodkiem i notującego coś skrupulatnie w zeszytach. Zabierałam te zeszyty do domu i studiowałam. Były to szczegółowe raporty z jego drastycznie okrojonego życia: niekończące się opisy posiłków, listy przyjmowanych leków, uwagi o pogodzie i szwankującym wzroku. W skrócie: sprawozdanie z progresji konania.

Przez parę pierwszych tygodni po śmierci R. zupełnie nic nie czułam. Byłam jedyną osobą, która mogła zająć się formalnościami – poza mną nie miał nikogo bliskiego. Nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci, od kilku dekad nie utrzymywał kontaktu z rodziną z Polski, pod koniec nie miał już także przyjaciół, choć oczywiście kręcili się wokół niego wielbiciele i naśladowcy oraz agenci i wydawcy ostrzący sobie zęby na ostatnie dzieło wybitnego pisarza – cały tłum sępów gotowych w każdej chwili zlecieć się do trupa.

Zdecydowałam, że wszystko załatwię sama i że nikt inny nie będzie miał dostępu do jego dokumentów. Zebrałam i uporządkowałam to, co zostało w wiedeńskim mieszkaniu R., szpitalne zeszyty spaliłam. Wiedziałam, że cała reszta jest tutaj, w domu na wyspie, więc kiedy minęły kolejno otępienie, złość i rozpacz, spakowałam wiedeńskie papiery R. i trochę swoich rzeczy i przyjechałam. Zatrzymałam się w pensjonacie nad samym morzem, siedem kilometrów od miasteczka, w którym znajduje się Villa Rosa, jak nazwał swój dom. Nie mogłam zamieszkać w Villi, bo nie wiadomo, do kogo ona teraz należy (R. nie sporządził

testamentu – gdyby to zrobił, należałaby do mnie) – toteż opiekę nad nią tymczasowo przejął związek pisarzy. Pozwolono mi jednak wejść do środka i przejrzeć papiery. Jako wieloletnia sekretarka R. dobrze znałam jego sposób pracy, więc jeśli ktokolwiek miał odnaleźć niedokończone dzieło mistrza i poskładać je z rozproszonych zapisków, byłabym to ja.

Bliskość morza okazała się błogosławieństwem. Panował taki upał, że tylko częste kąpiele w chłodnej przejrzystej wodzie umożliwiały przetrwanie. Momentami zrywał się wiatr, ale był to zły, gorący wiatr od lądu. Z trudem oddychałam. Najprostsze czynności wymagały nadludzkiego wręcz wysiłku. Dopiero po dwóch dniach pojechałam taksówką do Villa Rosa. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przyjechałam tam, żeby zabrać R. do Wiednia, jeśli nie liczyć kilku pajęczyn, trzech jaszczurek (czmychnęły, gdy tylko poczuły na sobie mój wzrok) i warstwy kurzu. Opróżniłam szuflady biurka, zebrałam do kartonowych pudeł rozwleczone po całym domu papiery i zaniósłam to wszystko do samochodu. Pot zalewał mi oczy, serce łomotało. W drodze powrotnej poprosiłam kierowcę, żeby obwioził mnie po miasteczku. Pokryte płytkami z piaskowca domy lśniły w słońcu, roślinność, z wyjątkiem majestatycznych palm wzdłuż głównej ulicy, prawie zupełnie wyschła, witryny nielicznych sklepików w rynku zasłonięto na czas sjeisty. Wielki, głęboki, wibrujący błękit nieba zdawał się przygniatać miasteczko do suchej czerwonej ziemi.

Wróciłam do pensjonatu. Po krótkiej sjeście zesłałam nad morze. Niewielką plażę opanowała grupa turystów

z Polski. Błady grubawy facecik w czerwonych kąpielówkach i goglach długo nakładał płetwy na drabince prowadzącej do wody. Brzeg był w tym miejscu bardzo stromy, a woda od razu głęboka. Czekałam, aż skończy. „Powinni to całkiem inaczej urządzić”, powiedział do mnie po polsku, próbując zawiązać sojusz. Nie wiem, jak to możliwe, ale zawsze umiem mnie rozpoznać. Wzruszyłam ramionami. Woda była chłodna i bardzo przejrzysta, pływanie przyniosło mi ulgę.

Kilka dni później

Upał się nasilił. Słońce pali niemiłosiernie od samego rana, w południe oślepia, a po południu świat zaczyna tracić kontury, jakby był zrobiony z galarety. Można tylko dryfować w morzu albo spać.

Rankami i wieczorami przeglądam papiery. Na razie są to głównie opisy przyrody, miejsc i banalnych zdarzeń, fragmentaryczne, pełne powtórzeń. Najlepsze przepisuję na komputerze, od razu nieco je redagując; znam jego styl bardzo dobrze, miałam mnóstwo czasu, żeby go opłacać, umiem odgadnąć intencje. Nie znalazłam jeszcze planu książki ani niczego, co stanowiłoby choć załączek fabuły „europejskiej powieści na nowe stulecie”, nad którą rzekomo pracował. Nocą, kiedy kładę się do łóżka, słyszę chłupotanie morza, chwilami tak głośne, że zagłusza bieg myśli. Z początku wydawało mi się jednostajne, z czasem zaczęłam dostrzegać w nim pewien wzór.

Kilka dni później

Rano, jeszcze przed śniadaniem, zesłam popływać w zatoce. W wodzie roilo się od czarnych serc. Po bliższym przyjrzeniu się zrozumiałam, że to osmalone liście. „Palilo się tam po drugiej stronie, słyszała pani?”; facecik w czerwonych kąpielówkach, który niespodziewanie pojawił się na brzegu, wskazywał na zalesione wzgórze po drugiej stronie zatoki. Nie słyszałam. Odkąd tu przyjechałam, interesowały mnie wyłącznie sprawy związane z R. „Był wielki pożar”, ciągnął. „Ale już zgasili”, dodał uspokajającym tonem. Zanurkowałam.

Kolejna gorąca i duszna noc. Skończyłam przeglądając zawartość pierwszego pudła. Nic, tylko niekończąca się inwentaryzacja banalnych czynności. Czasem jakieś proste historyjki: wyprawa na targ, gotowanie, zamykanie okienic dla ochrony przed południowym słońcem, drzemki, sny, lektura gazety przy popołudniowej kawie, kieliszek wina wieczorem, znowu sny, jeszcze więcej snów, i jeszcze. Przepisałam na komputerze niektóre fragmenty, papiery spałę.

Kilka dni później

Za długo spałam. Po wstaniu od razu poszłam nad morze. Facecik w czerwonych kąpielówkach leżał rozwalony na plastikowym leżaku. Wskoczyłam do wody. Jest tak słona, że pływanie nie wymaga żadnego wysiłku, ciało po prostu unosi się na powierzchni jak korek. Nawet moje wysuszone zwłoki odzyskały lekkość. Położyłam się na

plecach i dryfowałam, wpatrując się w bezdenne pulsujące niebo.

Schodziłam do wody jeszcze kilka razy, żeby się ochłodzić. Patrzyłam na fale. Zdawało mi się, że morze nie ma końca. Potem dostrzegłam coś na horyzoncie. Boja? Skorupa dużego żółwia morskiego? Małeńka łódź? Postanowiłam nie czytać gazet.

Wieczorem przeglądałam papiery z drugiego pudła. Znalazłam plik kartek podpisany „Europa – notatki”, ale były tam tylko opisy okolicznych plaż i długa lista plastikowych przedmiotów wyrzuconych przez morze: reklamówki, butelki, korki, szczoteczki do zębów, klapki, gumki do włosów, ręka lalki, przedziurawiony materac, kubeczek, etui na telefon komórkowy, widelec (tytuł tego dziwnego poematu brzmiał *Elegia*). Kartkę z listą spaliłam nad popielniczką. Wszedł księżyc. Jest nadgryziony z prawej, zmierza do nowiu. Otacza go delikatna mgiełka.

Nad ranem intensywne sny. Wędrowałam przez jakieś obce miasto i natrafiłam na grupkę łobuzów. Stali na chodniku i rzucali do siebie butelkami. Raz na jakiś czas któraś spadała na chodnik i rozbijała się z głośnym brzękiem, właściwie za każdym razem była to niewielka eksplozja. Podeszłam do nich i powiedziałam: „Przestańcie”. Najmłodszy, blondyn, prawie dziecko, powiedział: „Pani musi być strasznie stara, żeby się tak nie bać”. „Mam siedemdziesiąt lat”, oznajmiłam z dumą. Strasznie się z tego śmiałam po przebudzeniu. A potem uświadomiłam sobie, że moja odpowiedź nie była wcale tak bardzo daleka od prawdy...

Cała wieś czeka na burzę, skwar i duchota są prawie nie do zniesienia. Żeby otrząsnąć się ze snów, poszłam rano do miejscowej kawiarenki na podwójne espresso. Nieopodal dzieci skakały do wody z wysokiego falochronu. Czas grzązał w upalnym galaretowatym powietrzu, więc widziałam ich skoki jakby w zwolnionym tempie – były to bardzo piękne dzieci, wyglądały jak gwiazdy spadające w pióropuszech z blasku. Na horyzoncie niczego nie było, tylko to morze, bez końca.

Dokończyłam kawę, zapłaciłam, wypęzłam spod markizy i poszłam w dzikie słońce. Ja, starucha.

Po sjeście przemknęło mi przez myśl, że sama mogłabym napisać *Europę*. Wiem przecież, co go interesowało, jakie były jego obsesje, znam historię jego życia, miałam mnóstwo czasu, żeby to wszystko przetrwać – a jeśli nie ja, to kto?

Tego samego dnia, po południu

Facecik z dołu wyłowił z wody rozgwiazdę i położył ją na skałach, żeby wyschła – też mi trofeum myśliwskie! Było już za późno, by wrzucić ją z powrotem do wody. Nocna rozbójniczka, w morzu taka silna, szybko zdechła na słońcu. Patrzyłam na tego człowieka z tak intensywną wrogością, że w końcu i jego zrobiło mi się trochę żal, ulitowałam się nad nieforemnym ludzkim ciałem przysmażonym na czerwono niczym pieczeń nad ogniem. Spojrzał na mnie spode łba jak obrażony chłopiec. Moje współczucie prysło. Muszę się napić wina.

Tego samego dnia, wieczorem

Przed chwilą – widziałam to z góry – facecik wziął rozgwiazdę za jedno z wiotkich już ramion i wrzucił z powrotem do morza. Wyglądała jak mała czerwona szmatka, chustka do nosa. Mimo wszystko poczułam ulgę. Jej szczątki zostaną natychmiast zjedzone, tak jest dobrze, to należy do natury rzeczy, to należy do natury morza.

Muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie piłam czerwonego wina o tak intensywnym aromacie.

Następnego dnia

Tuż przed północą znów zesłałam popływać. Morze mlaśkało jak wielka wilgotna paszcza.

Później, nad ranem, wreszcie przysła burza. Grzmiało przez kilka godzin bez przerwy, padał ulewny deszcz, do tej pory na moim tarasie stoją kałuże. Ochłodziło się i świat wygląda jak przetarty gąbką, przedmioty odzyskały kształty, rośliny są intensywnie zielone. Poszłam do sklepu. Mieszkańcy wioski wyszli przed domy, zaludnił się mały okrągły plac przed kawiarnią, wszyscy świętują tę zmianę pogody, odrodzenie świata. Wezmę się dzisiaj za kolejne pudła, ale najpierw drzemka – w nocy, zafascynowana tym spektaklem wody i światła, nie mogłam spać.

Kiedy wracałam, jaszczurka przebiegła mi drogę, jej ruchy, rytmiczna naprzemienność wysiłku i spoczynku, przypominały falę. Stale powraca do mnie jedno zdanie z notatek do *Europy*, banalne, ale jakoś nie daje o sobie zapomnieć: „Będziesz miała tyle, ile umiesz wziąć...”.

Następnego dnia

Śniła mi się rozgwiazda. Przeczytałam potem w internecie, że rozgwiazdy polują głównie na ślimaki i małże. Przystysają się do ofiary odnóżami. Są tak silne, że po pewnym czasie udaje im się rozchylić muszlę. Przez powstałą w ten sposób szczelinę wpuszczają do wnętrza muszli swój żołądek, polewają małża sokami żołądkowymi i trawią go w jego własnym domu, a potem powoli wchłaniają. Taka uczta może trwać nawet dziesięć godzin.

Byłam zmęczona, większą część dnia spędziłam na tarasie, na przemian drzemiąc i patrząc na chmury. Zdawały się całkowicie nieruchome, ale kiedy na moment przymykałam oczy, widok zupełnie się zmieniał. Wpatrywałam się w horyzont. Czasem wydawało mi się, że coś tam dostrzegam, jakieś żywe, poruszające się punkciki, jakieś kształty. Później okazywało się, że to złudzenie.

Wieczorem przyszedł mejl od dużego austriackiego wydawcy. Pytają, czy jest szansa, aby *Europa* była gotowa do druku jeszcze w tym roku. „Nie, nie ma szansy!”, odpisałam natychmiast. Przecież muszę napisać tę książkę. W trzecim pudle odkryłam duży plik zawierający prawie wyłącznie opisy ludzi. Policzyłam je dla zabawy: sto osiem osób! To mi przypomina, że od pewnego czasu nie widziałam facecika w czerwonych kąpielówkach, znikła cała ta grupa, pewnie wyjechali. Znowu myślałam o rozgwiazdach, o ich nocnych ucztach. Te zwierzęta są bardzo powolne, ale jakże skuteczne. W głębokim mroku morza skradają się do ofiary, a kiedy już pochwyć ją w swoje silne ramiona – nie ma odwrotu.

Po południu poszłam na spacer. Weszłam na wzgórze za wioską i wędrowałam tak, jak prowadziła mnie droga. Najpierw była asfaltowa, potem szutrowa, w końcu przeszła w ścieżkę, później urwała się nawet ścieżka. Ziemia była ceglastoczerwona i sucha – kałuże po ostatniej burzy zniknęły bez śladu – nieopodal rosły stare drzewa oliwne o szarych pluszowych liściach. Oliwki były jeszcze małe, wielkości paznokcia. Doszłam do miejsca, z którego mogłam zobaczyć swoją zatokę i pensjonat. Białe budynki wibrowały w słońcu, morze migotało, znowu zaczynało się robić niemilosierne gorąco. Nie mogłam sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia – chyba zaczęłam tracić rachubę czasu. Godziny, dni, tygodnie – są jak kulki rtęci, łączą się i rozdzielają, a potem znowu się łączą – inaczej.

Wieczorem dalej przeglądałam papiery. Odniosłam wrażenie, że z monotonii tych opisów wyłania się jednak jakaś kompozycja. Może będę musiała przeczytać wszystko jeszcze raz. Znam intencje R. lepiej niż ktokolwiek inny, przepisywałam jego książki przez trzydzieści lat. Przez trzydzieści lat byłam jego pierwszą redaktorką.

Po zachodzie słońca nalałam sobie czerwonego wina. Piłam je powoli, patrząc na pomarańczowe i różowe smugi nad wzgórzami po drugiej stronie zatoki. Wyglądały jak łuna pożaru. W końcu zgasły. Na rozgrzanej ścianie domu siedział gekon w kolorze bladego ciała. Czekał na ćmę.

Kilka dni później

Ponownie pojechałam do Villa Rosa. Nie prosiłam już o pozwolenie, otworzyłam drzwi kluczem, który znalazłam,

porządkując wiedeńskie mieszkanie R. po jego śmierci. Kiedy zaczęłam przeszukiwać sypialnię, spod łóżka wylał skorpion! Zamarłam ze strachu. Potem ni z tego, ni z owego przypomniał mi się ten sen sprzed kilku dni... Poszłam do kuchni po miotłę. Otworzyłam drzwi balkonowe i za pomocą miotły wypędziłam skorpiona na taras, a później do wysuszonego na wiór ogrodu. „Mam siedemdziesiąt lat”, wysyczałam w przestrzeń. Skorpiona już tam nie było.

Znalazłam papiery pod materacem i w szafie, między prześcieradłami. Spory plik leżał w kuchni na dnie szuflady ze sztućcami. A więc chował te notatki – chował je. Ale przed kim je chował? Powiedziałam kierowcy, żeby wrócił wieczorem, po czym przystąpiłam do systematycznego przeszukania. Ponownie przejrzałam sypialnię, kuchnię, salon, gabinet, łazienkę; każdy zakamarek, każdą szufladę, każdą szafę. Zajrzałam nawet pod donice na balkonie i zdjęłam książki z półek. Nie miałam siły ustawiać ich z powrotem, bo znów było bardzo gorąco. Znalazłam jeszcze kilka pojedynczych kartek. Spakowałam wszystko do torby i usiadłam na tarasie. Wiedziałam, że więcej już tam nie wrócę, Villa Rosa może sobie teraz należeć do związku pisarzy, do kogokolwiek. Przeglądałam kartki: znowu to samo – życie, życie chwila po chwili, godzina po godzinie, do tego jakieś fragmenty spisane z gazet z komentarzem: „Złe wieści”. Przecież nie ma żadnych innych wieści, pomyślałam, tylko złe. Kiedy znalazłam kartkę z literami s.o.s., zrozumiałam, że właśnie w tym momencie zaczęłam tracić zmysły.

Wieczorem dokładnie obejrzałam swoją twarz w lustrze. Opaliłam się, chociaż nie zamierzałam. Moje rysy

się wyostrzyły, pogłębiły się bruzdy na czole i po bokach mojego dużego nosa. Opalenizna jeszcze bardziej mnie postarzyła, wyglądałam jak czarownica. Czyżbym jednak przybrała trochę na wadze?

Kilka dni później

Rano lekkie zachmurzenie. Morze wyglądało prawie groźnie. Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam, byłam prawie pewna, że coś do mnie mówi. Potem wygramoliłam się z poscieli, trochę bolało mnie biodro. Zawsze uważałam ciało za swoją największą porażkę. Ubrałam się i poszłam do sklepu. Kupiłam więcej kawy, pomidorów, oliwek i wina. Czekając w kolejce do kasy, zerknęłam na gazety na stojaku. Nie znam tutejszego języka, więc nie rozumiałam nagłówek – tylko zdjęcia. „Co to za wojna?”, miałam ochotę grzecznie kogoś zapytać, ale nie wiedziałam jak. Wróciłam do domu, zrobiłam śniadanie. „Co to za wojna?”, zastanawiałam się, patrząc na morze, które nie miało końca. Po deserze złożonym z dwóch dojrzałych, rozgrzanych na słońcu fig napisałam do swojego asystenta, że inaczej, niż początkowo planowałam, nie wrócę do Wiednia z początkiem września. Potrzebuję nieco więcej czasu. Może jeszcze miesiąc. Może jeszcze dwa.

Myślałam, żeby się przespać, zejść ze słońca, wyhamować; zawsze chciałam mieć guzik PAUZA, móc się w dowolnym momencie wylogować z systemu, wyłączyć tryb REJESTRUJ i przejść w stan biernej wegetacji, dzięki czemu dusza miałaby szansę dogonić rozpędzone ciało, czas mógłby się zsynchronizować z przestrzenią, a zapamiętane obrazy ułożyłyby się w pokaz slajdów, w załączek opowieści – ale nie zasypiam łatwo, a zmęczenie powoduje u mnie przypływ dziwnej energii i nadwrażliwość na bodźce, sprawia, że zmysły rejestrują wszystko bez wyjątku, bez litości, bez sensu.

– Mam dla ciebie historię – powiedział, gdy usiedliśmy przy stoliku na hotelowym tarasie.

Marzyłam o zimnym piwie. Powiedziałam, że chętnie wysłucham jego opowieści, kiedy tylko zamówimy. Poszedł do baru i przyniósł dwa wysokie oszronione kufle z napisem Αλφα . Bardzo się ucieszyłam. Zapalił i zaczął mówić.

– Dziesięć lat temu przyjaźniłem się z jedną kobietą z wyspy. Miała na imię Katerina, była ode mnie trochę starsza i miała syna niemowę. Rozumiał, co się do niego mówi, ale nie odpowiadał. W ogóle nic nie mówił. Wszyscy

Ale wtedy jestem dzieckiem, które jeszcze nie umie czytać.

Mam pięć, może sześć lat i bordową sukienkę z flaneli w małe zielone różyczki. Spod sukienki wystają chude nogi tego dziecka. Podrapane i posiniaczone jak siedemdziesiąt nieszczęść. Siedzę na wysokim stołku przed lustrem, nogi dyndają w powietrzu. Ona stoi za mną. Czesze mnie. Mam długie włosy w kolorze dojrzałego żyta. Są cienkie, nie przetrwają dojrzewania, trzeba je będzie obciąć, kiedy skończę piętnaście lat.

Nie boli. Boli, kiedy czesze matka, ale kiedy robi to ona, nie boli. Dotyka mnie delikatnie jak anioł, jak dobra wróżka. W lustrze widzę jej żylaste dłonie. Widzę, że drżą. Teraz myślę „żylaste”, bo teraz, czyli cztery dekady później, myślę słowami, ale wtedy, jako dziecko, myślę jeszcze obrazami. „Babciu”, mówię, „twoje ręce są podobne do pająków”. Babcia uśmiecha się do mnie wszystkimi zmarszczkami. Obserwuję taniec pająków w lustrze: jeden trzyma grzebień, drugi rozdziela moje włosy na pasma i przytrzymuje przy skórze, żeby nie ciągnęło. Potem pierwszy odkłada grzebień na toaletkę i oba razem zaplatają na mojej głowie dwa cienkie warkoczki.

Tej bordowej sukienki już nie ma. Nie wiem, jak skończyła, ale wyobrażam sobie, że tak jak zwykle kończą flanelowe ubrania, czyli pocięta na ścierki, które najpierw służyły do wycierania talerzy, potem do wycierania kuru, a na koniec do mycia podłogi. Wyobrażam sobie, że podczas tych zstępujących inkarnacji materiał stopniowo ciemniał, aż w końcu zrobił się jednolicie bury. Różyczki znikły, wchłonięte przez ścierkowe tło. Kiedy szmata wylądowała na śmietniku, już prawie nie różniła się od ziemi. A później stała się ziemią.

Drżące dłonie – pająki – zawiązują na moich cienkich warkoczach dwie zielone kokardy.

Wtedy nosi się duże kokardy ze wstążek kupowanych na metry w sklepie pasmanteryjnym. Podczas gdy sprzedawczyni pakuje wstążki w szary papier, a babcia za nie płaci, można oglądać guziki albo szpilki z barwnymi łebkami, bo wtedy nie ma jeszcze na świecie, na jej, czyli moim, świecie, mnóstwa różowego plastiku. Cieszy wszystko, co inne niż białe, szare lub brązowe. Patrzą na szpulki, kłębki i motki kolorowych nici, kordonków i włóczek i wyobrażam sobie inny świat, utkany albo zrobiony na drutach z tych barw. Byłoby w nim więcej czerwieni i niebieskiego. I żółtego. Myślę o nasyconej żółci wpadającej w pomarańcz, jak żółtko jajka, albo – czasem – słońce, na krótko przed zachodem. Byłby to lekki świat, świat nie całkiem serio. Koronkowy. Trochę przezroczysty. Wydziergany przez dziesięć pajęczych odnóży dla tej, którą wtedy jestem, dla tej, z której się wykluję.

Babcia ma różowe włosy. Upina je wsuwkami w mały koczek podobny do gniazodka wróbla albo, jeśli poprzednie-

go wieczora zakręciła je na wałki, zostawia rozpuszczone. Brwi ma siwe, cienkie. Od święta podkreśla je czarną kredką. Nieraz proszę: „Babciu, pozwól mi pokolorować twoje brwi”. Wtedy pochyla twarz, żebym mogła dosięgnąć, a ja skupiam się tak bardzo, że aż marszczę czoło. To moje pierwsze wtajemniczenia.

Od czasu do czasu chodzimy karmić psa. Pies jest czyjś, ale tych ludzi, którzy go mają, często nie ma w domu. Pies stoi na łańcuchu albo biega po zaniedbanym, zarośniętym pokrzywami podwórku wokół drewnianego domku z perlargoniami i obrazkami z Matką Boską w niskich oknach wychodzących na ulicę. Bez trudu przełazi przez dziurawe ogrodzenie. Radośnie wita się z babcią. Skacze, piszczy, łąsi się i skamle. Ludzie z tamtego domku nie lubią, jak odwiedzamy psa. Kiedy nas przyłapią, strasznie się wściekają. Wtedy udajemy, że nie wiemy, o co chodzi, i po prostu sobie idziemy, jak gdyby nigdy nic.

Pies jest duży, chudy, czarny i siwiejący jak babcine brwi. Nazywa się Skurwysyn, tak myślę, bo kiedy ludzie z domku go wołają, krzyczą: „Wraca tu, skurwysynu jebany”. Pies nie chce wracać, ale się słucha – jest przywiązany do swoich właścicieli bardziej niż do nas. Więc idzie, patrząc na babcię przepraszająco. Wie, że babcia zrozumie. Ona wszystko rozumie. Babcia chowa kiełbasę z powrotem do fioletowej torebki wyszywanej koralikami, odwracamy się i jak gdyby nigdy nic wracamy do domu albo idziemy nad rzekę.

Rzeka jest duża i szara. Marzę o drugiej stronie. Po drugiej stronie są wioski, których nazwy prawie nic dla mnie nie znaczą, wywołują tylko jakieś senne skojarzenia. Wyobrażam sobie inny świat. Pasmanterie, lodziarnie

i domy ludzi, których nie znam, których być może nigdy nie spotkam i którzy nie mają pojęcia – jak to możliwe? – o moim istnieniu. Dziewczynki, z którymi nigdy nie będę się bawiła i z którymi nigdy się nie pokłóce. Różowe kokardy w ich włosach, piękniejsze od moich. Zazdroszczę im tych kokard, jeśli je sobie zbyt dobrze wyobrażę. Wyobrażam sobie także rodziców tych dziewczynek: rolników, rybaków, mleczarzy. Takie zawody wydają mi się wspaniałe, w przeciwieństwie do nudnej biurkowej pracy moich rodziców. Obiecuję sobie, że kiedy dorosnę, zostanę rybakiem. Nie będę przesiadywała w bibliotekach ani stukająca w klawisze maszyny do pisania. Będę przed świtem wypływała łodzią na środek szarej rzeki i czekała w ciszy na słońce i ptaki. Wyobrażam sobie, że dla wymyślonych dziewczynek z różowymi kokardami miasto, w którym mieszkają moi rodzice, w którym ja mieszkam, jest tak samo egzotyczne jak dla mnie tamta druga strona.

Ale zimą, kiedy rzeka zamarza, ta druga strona staje się mniej niedostępna. Czasem lód jest tak mocny, że można przejść na drugi brzeg, brnąc po łydki w śniegu. Rybacy wyrąbują przeręble i palą ogniska na lodzie, może po to, żeby łatwiej puścić, a może tylko po to, by ogrzać ręce.

Potem pies zdechł. Nie pamiętam kiedy, ale na pewno zanim ścięłam włosy. Nie wiem, czy na podwórku przy drewnianym domku, czy poszedł gdzieś, żeby umrzeć w samotności, jak to zwierzęta. To nieważne, bo teraz jest już tylko ziemia.

Mam pięć, może sześć lat, babcia uczy mnie używać telefonu. Znam większość liter, powoli uczę się cyfr. Liczę.

Najpierw jest radość, że umiem policzyć do dziesięciu, później, całkiem nie wiadomo kiedy, do stu. Jak każde dziecko lubię podziw dorosłych, pochwały i oklaski. Wykluwa się z nich próżność i rośnie. Przyda mi się, ale na koniec będzie trzeba ją przekroczyć, to znaczy ja będę musiała przekroczyć próżność, oklaski, samą siebie i dorosnąć do życia – dorosnąć do śmierci. Babcia pokazuje mi, jak wykręcić numer mojego domu w mieście, tego, w którym mieszkam, kiedy chodzę do przedszkola, i w którym mieszkają moi rodzice. To mnie bawi. Czekam na pochwały. Wkładam palec do okrągłego otworu oznaczonego odpowiednią cyfrą i przekręcam tarczę. Potem do następnego. Numer składa się z pięciu cyfr. Muszę się skupić i użyć siły, bo moje palce są jeszcze bardzo małe. Ćwiczymy to wiele razy, w końcu udaje mi się zadzwonić samodzielnie. „Halo?“, odzywa się w słuchawce głos mojej matki. Obie, babcia i mama, biją mi brawo.

W mieszkaniu babci jest mnóstwo książek i płyt. Płyty są po jej drugim mężu, który nie był moim dziadkiem, bo mój dziadek zginął w lesie na początku wojny. Nie trzeba wyjaśniać której. Kiedy jestem dzieckiem, jest tylko jedna wojna. Poza tym babcia ma dużo różnych bibelotów i drobiazgów, takie mnóstwo, że można bez końca odkrywać nowe skarby. Na komodzie pół stoi, pół leży gipsowa figura, anioł z ułamaną ręką i drutem sterczącym z kikuta, przydźwigany przez babcinę ze starego kościoła. Przy ścianie ażurowa drewniana podstawka do nut, część fortepianu znalezionej w jakiejś stodole. „Zamieszkały w nim myszy”, mówi babcia. W szafie, na dole, pod płaszczami, odkrywam kawałki jasnego kamienia z dziw-

nymi literami przypominającymi ślady ptasich stóp. Są też obrazki – rozpoznaję świecę, fragment dłoni. Kiedy pytam o te kamienie, babcia wyjaśnia, że to stare nagrobki, dla których nie starczyło miejsca na cmentarzu. Przez pewien czas żyję w przeświadczeniu, że tak się właśnie robi – że stare nagrobki, dla których z jakiegoś powodu zabrakło miejsca na cmentarzu, trzyma się w szafie pod płaszczami. Babcia zbiera te kamienie na zarośniętej górze nad rzeką, w wysokich trawach, pod jałowcami. Jak grzyby.

Babcia jest u siebie królową, ja – paziem. Paż królowej to motyl. A więc jestem motylem. A babcia jest domem. Babcia napenia dom zapachem farb – maluje obrazy, co wydaje mi się wtedy najoczywistszą rzeczą na świecie. Drugim źródłem zapachu są zioła: bazylia, tymianek, szalwia, pietruszka. Nie przepadam za ziołami, ale babcia mówi, że każdy z tych listków ma jakąś wiadomość dla części, z których składa się moje ciało, dla mnie. Więc uczę się jeść jajecznicę z szalwią, kanapki z natką pietruszki, pomidory z bazylią. Dzięki temu tajemnicza siła, ta sama, co sprawia, że rzeczy rosną, szukają słońca i wydają owoce, jest po naszej stronie.

Rano wskakuję do łóżka babci. Ma zdrowy, twardy, długi sen. Kładzie się późno. Zasypiając, słyszę szuranie jej pantofli na kuchennej posadzce. Kiedy ja śpię, ona wciąż czuwa. To do niej należą te przepastne ciemne godziny, gdy mnie nie ma już wśród czuwających. Zazdroszczę jej tego czasu, albo temu czasowi zazdroszczę jej – tej, której nie znam i nigdy nie poznam. Wiem, zanim zasnę i zanim przestanę cokolwiek wiedzieć, że zaraz zapali papierosa

i przy kuchennej lampie zacznie mieszać farby. A potem będzie malowała, na deskach albo kawałkach sklejk, trawę, drzewa, kwiaty. Malowała – zauważę to znacznie później – prawie wyłącznie rośliny.

– Popatrz – mówi czasem – ten liść wygląda jak dłoń. A żyłki jak rzeki. Rzekami płynie życie.

– Dokąd? – pytam. – Dokąd płynie życie?

– Do morza – odpowiada bez namysłu babcia. – Wszystko wyszło z morza i wszystko do niego wraca, tylko czasem okrężną drogą. Czasem bardzo powoli. Czasem szybko.

Ale wtedy jeszcze nigdy nie widziałam morza.

Więc wskakuję do jej łóżka, ona wciąż śpi. Szarpię jej różowawe włosy, ona nie reaguje. Łaskoczę ją pod brodą, uśmiecha się. Zaczyna bardzo głośno chrapać, na niby. W końcu mówi: „Przynieś sobie książeczkę, babcia musi pospać jeszcze trzy minuty”. Ale ja już mam książeczkę, to nasz stały rytuał. Oglądam obrazki, dotykam liter i słów, najpierw w dużej mierze nieprzejrzystych i obcych, z czasem, z upływem tygodni i miesięcy, coraz bardziej czytelnym. Wreszcie babcia wstaje, ziewa, przeciąga się, narzeka na ból w plecach. Przez chwilę widzę, że jest krucha, ale to tylko moment, zaraz znowu jest królową. A ja, kim ja dzisiaj będę?

Zaraz po wojnie babci umarło dziecko. Na szczęście nie moja matka, bo wtedy mnie by nie było, chyba że urodziłabym się komuś innemu, ale wtedy nie byłabym mną. O zmarłym dziecku wiem od mamy, babcia o tym nie mówi. To było bardzo dawno temu. Zmarłe dziecko babci jest już tylko ziemią.

Czasem, rzadko, w wyjątkowych chwilach, babcia zabiera mnie do lasu. Las zaczyna się zaraz za łąką i ciągnie się kilometrami. Wtedy jestem przekonana, że ciągnie się bez końca. Wyobrażam sobie, jakie to nieszczęście zgubić się w tym lesie i błąkać się pośród grubych żywicznych pni, pod iglastymi koronami, które odbierają moc słońcu, gaszą księżyc. Zastanawiam się, jak by było nocować w takim lesie. Chcę tego i nie chcę. Chcę tego i nie chcę.

Babcia uczy mnie słowa „matecznik”. To jest miejsce w głębi lasu, gdzie mieszkają zwierzęta. Dzikie miejsce potrzebne do tego, żeby podtrzymać życie na ziemi. Także życie wyobraźni. A potem pokazuje mi poskręcane korzenie.

– Popatrz – mówi. – Wyglądają jak moje palce.

Otwiera swoje pajęczne dłonie i się uśmiecha.

– To drzewo jest stare – mówi. – Stare jak twoja babcia. – Śmieje się. – Kiedy umrze, przewróci się na mech. Będzie tak zmęczone, że zaśnie na tysiąc lat. Tysiąc tysięcy.

– Tysiąc tysięcy tysięcy – dopowiadam.

Wkrótce rzeczywiście znajdujemy takie przewrócone drzewo. Śpi na mchu, bezlistne i okorowane. Poskręcane korzenie sterczą ku górze.

– W tym korzeniu – mówi babcia – ktoś mieszka.

– Nie wierzę – odpowiadam, gładko wchodząc w swoją rolę.

– Zaraz zobaczysz.

Babcia wyjmuję z kieszeni scyzoryk, odcina kawałek martwego korzenia, zaczyna strugać. Już rozumiem. Nie jestem pewna, czy to oszukaństwo czy nie. Po paru minutach trzymam w ręku grubo ciosanego krasnoludka. Ma jedynie głowę, szpiczastą czapeczkę i kawałek tułowia. Do dziś.

Zachowało się tylko jedno zdjęcie mojej babci. Nie lubię go. Jest na nim źle ubrana, stara i uśmiecha się sztucznie, skrzepowana rolą modelki.

Podczas którejś z wypraw do lasu opowiada mi o wojnie – tylko raz. Mówi o ludziach pędzonych przez wieś, chudych i zakrwawionych. Że patrzyła na nich przez sztachety drewnianego płotu, ale najpierw zamknęła dzieci w domu. Potem nosiła do lasu mleko i chleb. Tak żeby sołtys się nie dowiedział, bo gdyby się dowiedział, wszyscy by zginęli, i tamci ludzie w lesie, i ona, i jej dzieci. Trudno mi to zrozumieć. Babcia mówi – i jest to jedyny raz, kiedy mówi coś takiego – że zrozumieć później. W końcu tamtych ludzi ktoś zabrał, nigdy nie dowiedziała się dokąd.

– Szukałaś ich? – pytam.

– Tak. Szukam ich w każdym lesie.

A potem odkrywamy czarcie koła. Psie grzyby rosną wokół grubego pnia sosny w prawie doskonałym kręgu, jakby ktoś specjalnie tak je posadził. Babcia wyjaśnia, że wyrastają z grzybni, która jest pod ziemią. Grzybnia to jedno wielkie rozgałęzione ciało, z którego wyrastają pojedyncze owocniki.

Pewnego ranka wskakuję do jej łóżka. Patrzę na nią przez chwilę: kiedy śpi, zmarszczki niemal zupełnie się wygładzają. Potem szarpie jej różowe włosy – nic. Łaskoczę pod brodą – nic.

– Babciu! – wołam.

Nic. Nie uśmiecha się. Nie chrapie.

Przez moment jestem jak sparaliżowana. Nie mogę się ruszać, zupełnie jakbym zamarzła. Potem powoli podcho-

Matka Boska Grawitacja

dzę do telefonu. Bardzo uważnie wykręcam numer swojego domu w mieście. Drżą mi ręce. Słyszę sygnał, trzy, pięć, siedem długich nut. I wreszcie:

– Halo?

Matka jest lekko zachrypnięta, zaspana, obudziłam ją.

– Babcia zasnęła – mówię bez ogródek. – Trzeba mchu.

Kiedy zakwitła tarnina, sadzili ziemniaki. Najpierw na dużym polu przy drodze. Ludzie chodzili za traktorem, w zwolnionym tempie, jak duchy, i raz po raz upuszczali coś na ziemię, tak to wyglądało. Potem wszędzie, nawet u starych Ziemaków, którzy mieli tylko mały kawałek zaranej ziemi za sadem. Mieszkali sami, jeśli nie liczyć psa. „Państwo Ziemniaki”, mówiła Alicja. „Szkoda, że to ich nie zasadzą”. A Hela patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, pewna, że za takie gadanie jest kara. „Ciekawe, co by z nich wyrosło”, ciągnęła przekornie Alicja, bardzo z siebie zadowolona. Tarnina jednego dnia wyglądała jak suchy szary gąszcz i aż bolało myśleć, jakby to było zejść z drogi i zaplątać się w te ostre chaszczce, a następnego ranka wszystkie gałązki pokrywał biały puch i nie był to śnieg, tylko mnóstwo kwiatków.

Alicję i Helę ciągnęło na łąki. Ziemia przebudziła się na dobre i partiami wypuszczała swoich ukrytych mieszkańców. Zakładników. Wystarczyło przykucnąć, by zobaczyć, że nic nie jest nieruchome i nic nie jest martwe, każdy skrawek przestrzeni roił się od stworzeń. Że każda rzecz ma swój własny kształt, choćby tylko na chwilę przelotną jak spojrzanie czworga dziecinnych oczu, to cud. I są

Pewna kobieta zakłada nielegalny ogród na ostatnim piętrze warszawskiego bloku. Pewien mężczyzna składa 1156 żurawi origami i niechący ratuje komuś życie. Pewna dziewczynka martwi się, że wyrażając egoistyczne życzenie popełniła grzech przeciwko grawitacji. Punkowa poetka zostaje gwiazdą serialu telewizyjnego, a sekretarka zmarłego pisarza wchłania jego tożsamość jak rozgwiezda – ciało ofiary.

Pamięć odsłania warstwy krajobrazów, do których nie da się już wrócić, chociaż to one nas zbudowały. Świat przyrody przenika się z ludzkim światem, a mimo to pozostaje dziki, wywołując zachwyt i grozę. W drugim człowieku otwiera się otchłań, niepokojąca, ale i znajoma. Inni są tuż obok nas, a zarazem nieskończenie daleko.

Bliskie kraje to 22 opowiadania o inności, obcości i niezwykłych spotkaniach. Zarazem jest to wyznanie wiary w piękno i moc literatury w świecie wyniszczonym przez wojny i kryzys ekologiczny. Mocna, hipnotyzująca proza.

www.marginesy.com.pl



9 788365 282583

cena 37,90 zł